

# A gdyby tak rzucić to wszystko i popaść w obłąd?

**Anna Ryczkowska**

„Kiedy myślę o rozmiarach tego wszystkiego, co może się tam w dole znajdować, mam ochotę przestać istnieć” pisał w „Zewie Cthulhu” Lovecraft. No i fajnie, to brzmi jak przyjemny stan umysłu, może nawet doskonałe postanowienie noworoczne.

Jest 31 grudnia. Cały świat dziś podsumowuje mijający rok, niech ich (nas?) szlag jasny trafi. Jedną z wielu zalet człowieczeństwa jest odporność psychiczna na kryzysy i wiem, że robimy to specjalnie. Chwalimy się tym, co udało nam się osiągnąć, sama tak robię, ale wszyscy dobrze wiemy, że wcale nie jest dobrze. Widzę to w treści informacji w mediach, w treści memów w social mediach, we wzroku przyjaciół, znajomych, pani w sklepie. Boimy się, martwimy, świrujemy wręcz. Doomscrolling (poświęcanie nadmiernej uwagi i czasu na przyswajanie negatywnych, niepokojących wiadomości z mediów) przeżywa szczyt popularności. Sama, chociaż od lat odporna na uroki tiktokizacji świata wirtualnego i z wyższością odrzucająca koncept „short vertical video”, dałam się na to złapać. Dzisiaj doomscrollowałam w sumie ze trzy godziny.

Jest 31 grudnia. Podsumuję se ten rok na Instagramie, a jakże. Napiszę, że przeczytałam 106 książek, chociaż jedna trzecia z nich to w sumie były opowiadania i eseje. Napiszę, że zorganizowałam 17 konferencji prasowych, a tylko jedna z nich skończyła się protestem byłego premiera na Krakowskim Przedmieściu, chociaż tak naprawdę to chyba aż trzy się tak skończyły. Nie napiszę, że robienie PR dla instytucji pożytku publicznego wykończyło mnie psychicznie, bo to byłoby nadużycie. To nie praca w sektorze publicznym mnie wykończyła. To świat mnie

wykańcza. I nie wiem, czy to kierunek, w którym zmierzamy, czy może odbijają się na mnie lata wychowania w patriarchalnym społeczeństwie skupionym na tym, żeby wcisnąć mnie w jakieś swoje ramki, szufladki, pudełka, z których regularnie wystaję i wszystkim to przeszkadza. A może to tylko w mojej głowie, co? A nawet jeśli — czy to ujmuje realności doświadczenia? Czy powolne, zamierzone popadanie w obłąd może być uznane za strategię przerwania? „Gdzie kończy się szaleństwo, a zaczyna rzeczywistość? Czyż nie jest możliwe, że nawet ten mój ostatni strach i wizje były po prostu złudzeniem?” pytał znów Lovecraft w „Widmie nad Innsmouth”, jednym z tych opowiadań, które beczelnie zaliczyłam do 106 przeczytanych w tym roku książek.

Jest 31 grudnia. W mojej głowie sztorm. Przeczytałam dziś, że... nieważne, to bez znaczenia, co przeczytałam. To mógł być artykuł o upadającym zdrowiu psychicznym Polaków albo reportaż o kryzysie niepłodności. Może raport o dramatycznym stanie rynku pracy lub top 10 trendów w dezinformacji? Kogo to obchodzi? Dobrze wiem, że wszyscy czują się tak jak ja — wykończeni. Bo dziś kończy się pierwsze ćwierćwiecze tego stulecia, w którym głównie próbowaliśmy nie zwariować. Więc pozwólcie, że na kolejne ćwierć wieku zaproponuję alternatywę: a gdyby tak radykalnie zaakceptować, że nam odbija? A jakby tak kolektywnie ześwirować? Poddać się obłądowi, zobaczyć, co jest po drugiej stronie. Może to szaleństwo jest metodą przetrwania, której jeszcze nie próbowaliśmy?